

Ponglish jest ok

Pamiętacie serię memów „Angielski z Tuskiem”? Bawiły mnie do łez i kompletnie nie chodziło o osobę pana przewodniczącego. Internauci tak kapitalnie przerabiali polskie przysłowia i idiomy, że można się było popłakać ze śmiechu. Nie wiem, czy nie mieli litości dla pana Tuska, ale na pewno nie mieli litości dla naszego cudownego języka. Stwierdzenie SOMETHING IS NO YES, czyli literalne COŚ JEST NIE TAK, weszło już na stałe do bazy moich ulubionych powiedzonek.

Punktem wyjścia było nieśmiertelne i znane na długo przed „Angielskim z Tuskiem” THANK YOU FROM THE MOUNTAIN TOP, czyli Z GÓRY DZIĘKUJĘ. Wykorzystanie podwójnego znaczenia słów to zresztą częsty zabieg w tych żarcikach językowych, jak na przykład w fantazyjnym tłumaczeniu tytułu filmu CZY LECI Z NAMI PILOT, czyli IS THE REMOTE CONTROL IS FLYING WITH US? ☐



Ale jak mawiają najstarsi twórcy memów SCIENCE DIDN'T GO TO THE FOREST, czyli NAUKA NIE POSZŁA W LAS, więc Polak w ciemię bity nie jest i sobie z angielskim zawsze poradzi. Nie będzie byle język nam ust sznurował. 0!

Pół biedy, jeśli eksperymenty językowe przebiegają na naszej pięknej, polskiej ziemi (do czego jeszcze potem wrócimy), ale za granicą to sprawa już się trochę komplikuje. Zwłaszcza, gdy

delikwent wyjeżdża w celach osadniczo-zarobkowych kompletnie nie znając języka tubylców. Ale spokojnie. Polak w takich sytuacjach również sobie świetnie poradzi stosując niezawodną metodę wolnego mówienia i starannego akcentowania. Oczywiście nie angielskich a polskich słów □

Legendarną twórczynią tejże metody była moja znajoma. Zaznawała rozkoszy emigracji do kraju anglojęzycznego w 2005 roku, kiedy Polacy szturmem wyjeżdżali za pracą i jako pierwsi osadnicy mieli z wszystkim pod górkę.

Nie było urzędników mówiących po polsku, menu w restauracjach tylko w tym dziwnym angielskim języku a przede wszystkim nie było sklepów z polską żywnością. I to był dopiero dramat! Człowiek sobie nawet nie zdaje sprawy jak mocno jego polskie serce jest związane z kapustą kiszoną a myśl o polskich parówkach wyciska z oczu łzy nostalgii. W skrócie mówiąc Polakowi na emigracji jest potrzebne polskie żarcie. Teraz sprawa jest prosta, bo na każdym rogu angielskiej albo irlandzkiej ulicy można znaleźć polski sklepik albo chociaż monopolowy z polskimi wyrobami prowadzony przez Pakistańczyka, ale wtedy, te trzynaście lat temu, kraje anglojęzyczne były jałową pustynią jeśli chodzi o kapustę kiszoną i inne niezbędne Polakowi do życia produkty.

Jakże więc zelektryzowała niewielką Polonię w pewnej prowincjonalnej miejscinie wiadomość, że lokalny supermarket wprowadza skromny asortyment polskich produktów. Świętym graalem była kiszona kapusta w litrowych słoikach. Każda szanująca się Polka biegła więc po kapustę. Moja znajoma naturalnie także. Zamotała się przy wejściu biduła i regału z kapustą za nic nie mogła znaleźć. Gdyby chodziło o coś innego, to pewnie by zrezygnowała, ale heloł? Mowa o kapuście kiszonej! Po obleceniu sklepu kilka razy dookoła znajoma zrozumiała, że nie uda się bez wsparcia. Namierzyła między regałami pracownika i zaczęła energicznie gestykułować, co jak wiemy bardzo pomaga w komunikacji □

– Polska żywność? – zapytała uprzejmie.

Pracownik pokręcił głową sygnalizując, że niestety nie rozumie.

– P-O-L-S-K-A Ż-Y-W-N-O-Ś-Ć?

Pracownik dalej nic nie kumał, więc znajoma przekombinowała sobie w głowie, że pewnie „żywność” to za trudne słowo dla prostego Irlandczyka.

– P-O-L-S-K-A P-Ó-Ł-K-A? – zapytała więc z nadzieją w głosie.

W oczach znajomej zapewne było tyle desperacji, że pracownik strzelając w ciemno, zaprowadził nieszczęsną do wyśnionej kapusty kiszzonej. I to, moi drodzy, już na zawsze utwierdziło dziewczynę w przekonaniu, że wystarczy mówić wolno i wyraźnie po polsku a każdy obcokrajowiec elegancko zrozumie o co chodzi.

W Polsce rzecz ma się nieco inaczej. Tutaj nie ma obowiązku znać języka angielskiego, ale trzeba oddać sprawiedliwość naszym rodakom, że jeśli tylko mogą to starają się być uczynni i pomocni w stosunku do obcokrajowców. Nawet jeśli tłumaczenie turyście, dokąd ma iść oznacza machanie rękoma jak wiatrakami. Nie mamy żadnych kompleksów i chętnie nawiązujemy konwersację. I tu dochodzimy do drugiego sposobu mówienia po angielsku, czyli skoro znam czasowniki to niech rzeczowników domyśli się Anglik. Lub odwrotnie ☐

Piękną scenę rodzajową zaobserwowałam dosłownie kilka dni temu w Rossmanie. Jakiś cudzoziemiec miał problem z wyborem kosmetyków i uczynna ekspedientka bardzo starała mu się pomóc. Gestem i czynem. A potem mową i uczynkiem ☐ Ponieważ klient nie do końca chyba właściwie intepretował gorączkowe machanie głową, więc dziewczę powiedziało: THIS IS NOT CREAM! THIS IS PIANKA!

A to i tak jeszcze nic w porównaniu z tym co z wyrabia z

naszymi językami stres ☐

Taki jeden facet pracował w międzynarodowej firmie a konkretnie w jej polskim oddziale. Angielskim władał całkiem znośnie, dopóki się biedak nie zestresował. Pewnego razu z wizytą do polskiej placówki przyleciał szef wszystkich szefów i przyjaznym tonem, po angielsku rzecz jasna, pochwalił faceta za dobrze wykonaną pracę. A ten pokraśniał i go z wrażenia zatkało a potem trzęsącym się z nerwów głosem wydukał: FUCK YOU VERY MUCH! ☐

Także, co ja tam chciałam? A! To ja się gudbaj z państwem ☐